

## „Łowy”

Odkąd przyjechaliśmy w góry niemal cały czas okropnie wieje. Zdarza się wprawdzie, że wiatr trochę się uspokaja, ale wieczorami zawsze znowu zaczyna szaleć. To właściwie cud, że w mieście nie pozrywało jeszcze dachów, ale i tak codziennie zamykają kolejne szlaki. Chcieliśmy sobie urządzić nasz ostatni wspólny wyjazd, nim każde z nas pójdzie w swoją stronę. Za kilka tygodni rozpocznie się rok akademicki i chcieliśmy się jeszcze raz spotkać, wyjechać, może zdobyć razem kilka szczytów, zanim porozjeżdżamy się po całym kraju. Zatrzymaliśmy się u mojego dziadka, który ma domek na obrzeżach Zakopanego, ja, Marek i Julka. Niestety pogoda nam nie sprzyja. Od kilku dni jedyne, co możemy robić, to siedzieć w starej, trzeszczącej od tego wiatru chałupie dziadka albo chodzić po Krupówkach czy knajpach. Sprawdzaliśmy przecież prognozy przed wyjazdem. Wszyscy zapowiadali piękną, słoneczną pogodę.

– W górach pogoda bywa nieprzewidywalna – tłumaczy dziadek, odpowiadając na nasze narzekania. – Takie burze to co prawda rzadkość, ale raz na parę lat się zdarzają – mówi. Jego słowa nie są niczym dziwnym ani specjalnie odkrywczym, ale brzmi przy tym tak, jakby z trudem zachowywał spokój. Odkąd przyjechaliśmy jest dziwnie blady i jakby pozbawiony energii. To pewnie też przez pogodę. Ciągła burza może przyprawić o ból głowy. Marek też się na niego skarży.

\*\*\*

Jest późny wieczór. Wichura znowu zaczyna szaleć. Zamknęliśmy wszystkie okna, ale i tak słyszemy wyjący groźnie wiatr i trzeszczące drzewa na zewnątrz. Przez chwilę wydaje mi się nawet, że dociera do mnie wycie psów. Burza jednak szybko tłumi je całkowicie. Może któryś z sąsiadów wypuścił zwierzęta na podwórko? Przestaję je słyszeć i uznaję, że teraz na pewno wpuścił je domu. W taką pogodę nawet zwierzęta nie chciałyby siedzieć dłużej na dworze.

– To bez sensu – zaczyna Marek, sięgając po kubek herbatki owocowej, którą mój dziadek ciągle nam parzy, jakby niczego innego nie było. – W tę pogodę i tak nic tu nie będziemy robić. Lepiej będzie, jak wrócimy. Mamy jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia roku. Możemy pojechać gdzieś indziej.

– Te burze na pewno miną za parę dni – odpowiadam. Mam przy tym nadzieję, że naprawdę miną. Mnie też ciężko już to wytrzymać, ale taki stan nie może przecież trwać wiecznie. – Możemy jeszcze trochę poczekać.

– Może, jeśli w dzień będzie trochę lepiej, spróbujemy się kawałek przejść – proponuje Julka ku zdziwieniu nas obu. Siedzący w pobliżu dziadek na moment błędnie jeszcze bardziej i łapie się za głowę. – Przecież chwilami się poprawia – tłumaczy dziewczyna. – Poza tym wszystkich szlaków jeszcze nie zamknęli, a my nie musimy od razu włączyć na Rysy. Pójdziemy sobie na jakąś łączkę czy coś. Posiedzimy, zjemy obiad w

schronisku, a później wrócimy. Nie chcę zmarnować całej wycieczki w góry na siedzeniu w domku i piciu herbat!

– Jak byłem w NRD na robotach – odzywa się dziadek słabym głosem – to tam mówili, że jak w górach tak strasznie wieje, to znaczy, że duchy po nich biegają.

Przez chwilę patrzymy na niego w milczeniu. Dziadek zawsze miał swoje dziwactwa, ale wydaje się pewien swoich słów. Wierzy w bardzo dużo różnych zabobonów. Mama zawsze wspomina, jak kiedyś do niego przyjechaliśmy i przypadkiem zbiłem dziadkowi solniczkę. Byłem wtedy jeszcze mały i nic z tego nie pamiętam, ale mama ciągle powtarzała, że dziadek prawie się wtedy popłakał. Puszczamy więc jego słowa mimo uszu i wracamy do rozmowy. On sam po chwili wychodzi i zamyka się w swoim pokoju. Kto wie, czy jego zachowanie nie sprawia, że tym bardziej chcielibyśmy choć na moment wybrać się w góry. W każdym razie tego wieczora decydujemy. Jeśli następnego dnia będzie to możliwe, wyjdziemy na szlak, niedaleko, tylko żeby się odrobinę przejść, odpocząć na jakiejś polanie i wrócić. Nie wydaje nam się to złym pomysłem.

\*\*\*

Następnego dnia faktycznie wieje jakby mniej. Zaraz po śniadaniu przeglądamy szybko zakupiony jeszcze podczas którejś z poprzednich wycieczek przewodnik. Zaznaczyliśmy wcześniej kilka tras, które chcieliśmy przejść w czasie tego wyjazdu, ale droga na Giewont albo Kasprowy niezbyt kusi przy takich warunkach. Poza tym te szlaki już w większości zamknęli. Bez entuzjazmu decydujemy się na dużo lżejszą trasę, która miała być naszym odpoczynkiem po wcześniejszych wypadach w góry. Niestety nie zapowiada się na to, żeby miały one w ogóle nastąpić. Poza tym trasa do Doliny Chochołowskiej na pewno jest jeszcze otwarta.

Szybko pakujemy po jakiejś przekąsce i butelce wody. Później żegnamy się z moim dziadkiem, który zaraz potem zamyka się w swoim pokoju, jakby chciał nam przekazać, że nie zamierza mieć z tym wyjściem nic wspólnego. Nie zastanawiamy się jednak zbyt długo nad tym, co ten gest mógł znaczyć, jesteśmy praktycznie gotowi do drogi.

– To cześć! – krzyczę przez drzwi dziadkowego pokoju. – Popołudniu wrócimy.

Dziadek nie odpowiada. Julka macha ręką, żeby mnie pospieszyć. Ona i Marek stoją już w drzwiach i czekają. Zza drzwi dalej niczego nie słyszę, więc w końcu wzruszam ramionami i dołączam do przyjaciół. Wychodzimy, a potem energicznym krokiem ruszamy w stronę najbliższego dworca.

– No to najpierw pojedziemy bussem na Siwą Polanę? – Marek otwiera przewodnik na właściwej stronie i zaczyna wodzić palcem wzdłuż tekstu, z trudem utrzymując broszurę w dłoniach. Może wieje mniej, ale wiatr wciąż jest dość silny. – Stamtąd pójdziemy do schroniska na Polanie Chochołowskiej? – powtarza po raz kolejny.

– Tak, Marek – odpowiada natychmiast Julka lekko zniecierpliwionym tonem. – Już to omówiliśmy.

– Upewniam się tylko – tłumaczy się tamten, podnosząc wzrok znad broszury.

– Tylko mi się tu nie kłóćcie – wtrącam się.

– Bo co? – pyta zaraz Julka.

Nie odpowiadam. Zamiast tego całą trójką wybuchamy śmiechem. Wreszcie idziemy robić to, po co tu przyjechaliliśmy. Trochę szkoda, że nie możemy sobie pozwolić na żaden bardziej wymagający szlak, ale w tej sytuacji dobre i to.

\*\*\*

Bus zatrzymuje się na dużym parkingu w pobliżu wejścia do parku narodowego. Nasza trójka oraz kilkoro innych turystów powoli z niego wysiada. Dookoła stoją samochody, zajmujące większość miejsca. Najwyraźniej więcej osób uznało, że przy tych warunkach, to jeden z nielicznych szlaków, które pozostają dobrym wyborem.

– No nareszcie! – Julka wybiega do przodu. – Chodźcie kupić bilety.

Ja i Marek idziemy za nią, choć trochę wolniej. Dookoła rozciąga się polana, będąca teraz jednym z bardziej zatłoczonych miejsc w Tatrach. Na jej granicach wiatr targa szarozieloną masą drzew. Ponad nią piętrzą się góry, składające cichą i niemożliwą do spełnienia obietnicę wędrówki.

Siedząca w kasie podstarzała góralka w pośpiechu sprzedaje nam bilety wejścia do parku. Później przechodzimy te kilka kroków i robimy miejsce dla kolejnych ludzi w kolejce. Przed nami znajduje się atrapa ciuchci, do której wciskają się turyści. Zadziwiające, jak wielu ludzi wyjeżdża w góry, mimo iż zrobią wszystko byleby się nie zmęczyć. Dalej stoją rowery z wypożyczalni. Kilka osób zamierzających na nich przejechać dolinę właśnie dogaduje się z właścicielem. Poza tym w przód ciągnie się tylko łagodny szlak, którym mamy zaraz wyruszyć.

– Nie ma dorożek – zauważa Marek, podnosząc przewodnik i walcząc z powoli wzmagającym się wiatrem, żeby go nie stracić.

– Wolałbyś jechać? – dziwię się.

– Nie – odpowiada Marek lekko zmieszany – ja tylko mówię. Zazwyczaj są, a teraz nie ma.

– Nie mam pojęcia dlaczego – stwierdzam, ucinając temat.

Faktycznie to może być dziwne. Tą częścią parku zarządza założona przez górali Wspólnota Leśna. Oni raczej nie zakazaliby jeździć bez powodu. Niestety nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie.

– Chodźcie, chłopaki! – poganiam nas Julka, a my dopiero teraz zauważamy, że od paru chwil stoimy w miejscu.

Dziewczyna wychodzi do przodu, ale po chwili i ona przystaje. Wiatr targa jej długimi włosami, niemal całkowicie przysłaniając widoczność. Wyjmuje z kieszeni gumkę i szybko je wiąże, odwracając się do nas i jeszcze raz pokrzykując wesoło:

– No chodźcie!

Obaj uśmiechamy się mimowolnie. Marek naciska czapkę na uszy, ja poprawiam kaptur, a potem dołączamy do niej.

Idziemy doliną. Co jakiś czas mijamy bacówki, przed którymi stoją tabliczki informujące o możliwości zakupu oscypków albo bundza. Poza tym połacie zieleni po obydwu stronach są niemal całkowicie puste. O tej porze roku wciąż powinien trwać tu wypas owiec, ale najwidoczniej nikt się na to nie zdecydował. Zamiast beczenia zwierząt i pobrzękiwania dzwoneczków słyszymy tylko nieustający szum wiatru.

– Niezbyt mi się ta wycieczka podoba – mruczę pod nosem, ale chyba nikt nie zwraca na to szczególnej uwagi.

Mijamy krzyże upamiętniające wizytę papieża. Wchodzimy do lasu, który choć trochę osłania nas przed wiatrem. Nie czujemy go tak mocno, ale szum w koronach drzew i trzeszczenie pni stają się znacznie głośniejsze. Dalej słychać potok, który zdaje się próbować jakoś uprzyjemnić nam tę wycieczkę. Dolina cały czas się zwęża. Chwilami dostrzegamy też górskie szczyty.

Las przerzedza się momentami, pokazując stare szałas pasterskie. W pewnej chwili zauważyliśmy kawałek od nas wtopioną w zieloną ścianę drzew maleńką kapliczkę. Szarawe drewno i stojący obok krzyż nie dodają spokoju. Może to wina głupiego gadania mojego dziadka, ale cały czas mam wrażenie, jakby po górach faktycznie krążyło coś, czego nie powinno tam być.

– Czemu nic nie mówisz? – dziwi się Julka.

– Zamyśliłem się – odpowiadam dopiero po dłuższej chwili, kiedy już dociera do mnie sens jej słów. Ona i Marek rozmawiają całą drogę. Ja tylko czekam, aż zobaczę przed sobą budynek schroniska.

W końcu stając przed nami okazały gmach z szarego kamienia. Zatrzymujemy się, żeby chwilę odpocząć i coś zjeść. Czuję, że mogę wreszcie odetchnąć z ulgą. Zaraz będziemy wracać. Niestety Julka musi coś w tej sprawie powiedzieć:

– A może pójdziemy jeszcze kawałek? – proponuje z radością. – Szlak na Grzesia jest dostępny. Pójdziemy tam i wrócimy, co?

Nie jestem w stanie wykrztusić z siebie odpowiedzi. Poza tym co mam powiedzieć, że uwierzyłem w opowieści dziadka? Marek przez chwilę się zastanawia, nie jest przekonany do tego pomysłu, ale ostatecznie ulega. Nigdy nie potrafił odmówić Julce. Ja mogę już tylko w milczeniu pokiwać głową na zgodę.

\*\*\*

Po wyjściu ze schroniska, gdzie zostawiamy większość ludzi, którzy szli z nami Doliną Chochołowską, mijamy ogródek meteorologiczny i przechodzimy obok drewnianej kapliczki. Z bliska wygląda teraz jeszcze gorzej, poszarzała, smutna, opustoszała. W niedzielę dalej odbywają się tu msze i kiedy pojawiają się ludzie, wygląda zapewne znacznie przyjaźniej. Szkoda, że teraz nie ma niedzieli.

Idziemy jeszcze kawałek przez las. Ścieżka cały czas zakręca i pnie się stromo. Kilka razy muszę łapać się pni drzew albo wystających korzeni, żeby się nie przewrócić. W którymś momencie to nie wystarcza. Tracę równowagę, chwytam wystającą z ziemi roślinkę, ale i tak lecę na ziemię. Julka i Marek zaraz podbiegają do mnie, pomóc mi wstać. Ja przez chwilę leżę na ścieżce, rozmasowując obolałą nogę i czuję jakby dziesiątki oczu nagle zwracały się w moją stronę. Po plecach przebiega mi dreszcz.

– Wszystko w porządku? – pyta Marek.

– Chyba tak – odpowiadam.

Jedną dłoń starłem na ziemi aż do krwi. W drugiej wciąż trzymam zieloną łądkę. Boli mnie noga. Poza tym faktycznie nie jest źle. Marek pomaga mi się podnieść, a potem mogę już normalnie iść. Nagle wydaje mi się, że wiatr się wzmaga.

– Ale może już wracajmy, dobra? – proponuję cicho.

Po kilku chwilach Marek i Julka zgodnie kiwają głowami. Ruszamy z powrotem.

\*\*\*

Popołudniu wiatr wieje znacznie mocniej niż wcześniej. Dziadek chodzi po domu roztrzęsiony, co jakiś czas dopytując o naszą wycieczkę, ale nie wydaje się nią specjalnie zainteresowany. Chyba chce tylko zająć czymś myśli.

– Wszystko dobrze? – pyta Julka, kiedy wszyscy troje już trochę odpoczęliśmy.

– Tak – odpowiadam zdawkowo.

W sumie nie jestem pewien, czy nie mówi czegoś jeszcze. Przez całą drogę powrotną czułem się jakoś dziwnie, teraz też. Moją uwagę skupia głównie wichura szalejąca za oknem. Coraz częściej wiatr brzmi dla mnie jak szaleńcze okrzyki albo ujadanie psów. Chyba zbyt często słucham dziadka.

Usilnie przekonuję siebie, że wszystko tylko mi się wydaje, ale kiedy wieczorem podchodzę do okna, nie mam co do tego pewności. Robi się już ciemno, a wiatr wyje coraz głośniejsze. Słyszę w nim jakby triumfalną nutę. Kiedy wyglądam na moment na dwór, przed bramą zauważam pojedynczą postać. Nie widzę dokładnie, panuje półmrok, a tumany kurzu wzbijanego przez wiatr jeszcze bardziej ograniczają widoczność. Mimo to jestem pewien, że ta tajemnicza postać również wpatruje się we mnie. Nie zwraca uwagi na wicher, tylko tam stoi i patrzy. Dookoła niej krążą dwa psy. W wieczornej szarówce wyglądają jak upiorne cienie.

– Kuba! – z odrętwienia wyrywa mnie pokrzykująca Julka. – Coś się tak zapatrzył?

– Nic takiego – kręcę głową i podchodzę do fotela.

Na stole przede mną stoi kubek z herbatą owocową przyniesiony przez mojego dziadka. Julka i Marek wpatrują się we mnie z kanapy, sącząc swoje porcje.

– Błady jesteś – zauważa Marek.

– Nic mi nie jest – odpowiadam niemal bezgłośnie i sięgam po swój kubek.

\*\*\*

Tej nocy nie śpię zbyt dobrze. Cały czas mam przed oczami tę postać oraz jej psy. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że przyszła z mojego powodu. Nieustające wycie wiatru, najgorsze od kilku dni, nie ułatwia mi odpoczynku.

Rano jestem niewyspany. Julka i Marek twierdzą, że dalej wyglądam strasznie blado. Dziadek też zdaje się zaniepokojony moim wyglądem. Wszyscy troje zgodnie radzą, żebym trochę odpoczął. Po południu moi koledzy chcą przejść się na miasto. Przez ostatnie dni mogliśmy się wyuczyć niemal na pamięć większości ulic w Zakopanem, ale po nocnej wichurze na pewno nie szlibyśmy w góry. Wozy strażackie jeżdżą cały ranek. Mało kto chciałby też dalej siedzieć w domu, choć teraz właśnie na to mam największą ochotę. Mimo to zgadzam się. Myślenie, że on tam gdzieś czeka byłoby głupie. Poza tym na pewno nie rzuci się na mnie w środku miasta. Poprzedniego wieczora też mógł po prostu tamtędy przechodzić. Mogło mi się to wszystko wydawać. Atmosfera ostatnich dni i zabobony, o których opowiadał dziadek, po prostu za bardzo działają na wyobraźnię. Bardzo chcę w to wszystko wierzyć, ale mimo to niepokój nie ustępuje całkowicie.

– Zostało nam na pewno jeszcze coś ciekawego do zobaczenia w okolicy – zaczyna głośno Julka. – Jest chociażby ten cały dom do góry nogami.

Marek robi dziwną minę. Kiedy na moment przestaję rozpamiętywać wydarzenia z poprzedniego dnia, przypominam sobie, jak przed wyjazdem sprawdzaliśmy niektóre atrakcje.

– Podobno to nic ciekawego – mówię. Marek nie zanegowałby pomysłu Julki.

– To możemy pójść na basen albo chociaż przejść się po Zakopanem. – Julka najwidoczniej nie może pozwolić, żebyśmy cały dzień przesiedzieli w domu.

– Basen może nie być najlepszy. – pokazuję na plaster na mojej ręce.

– No to chociaż się przespacerujemy po mieście. – Julka wzdycha ciężko.

– Tylko na siebie uważajcie – do dyskusji włącza się mój dziadek. – Nie chodźcie...

– Wiemy – przerywa mu Julka.

– Będziemy ostrożni – uzupełnia po chwili Marek

– No dobrze. – staruszek kiwa niechętnie głową. – Moglibyście przy okazji zrobić drobne zakupy? – zgodnie potakujemy. – I nie wracajcie zbyt późno, dobrze?

– Dobrze, dobrze – odpowiada zaraz Julka. – Wszystko będzie w porządku.

\*\*\*

W środku miasta, budynki odrobinę chronią nas przed wciąż wiejącym, silnym wiatrem. Nie blokują go zupełnie, zabudowa nie jest dostatecznie gęsta, ale przynajmniej trochę mniej go odczuwamy. Wystarcza, żeby nie rzucał nami z jednej strony ulicy na drugą.

Zauważamy jednak liczne skutki nocnej wichury. W wielu miejscach drzewa są poprzewracane, straż zajmuje się nimi od rana. Wciąż chwilami słychać syreny przejeżdżających wozów. Ulice w całym mieście pokrywa pył, gałązki i rozmaite śmieci. Nie wygląda to najlepiej, ale można wytrzymać.

Wychodzimy już ze sklepu. W ręku niosę siatkę z zakupami. Wszędzie dookoła pojawiają się restauracje oraz sklepy z pamiątkami, zapraszające barwnymi szyldami i tandetnymi zabawkami na wystawach. Po ulicach przetacza się tłum, z którego co jakiś czas ktoś się odłącza, by zniknąć za jakimiś drzwiami. Kilka razy zauważam, jak ktoś idzie z psem albo jakiś bezpański kundel przebiega po chodniku. Mimowolnie się przy tym wzdygam.

– To powiesz nam, co się dzieje? – odzywa się nagle Julka.

– O co chodzi? – próbuję ją zbyć.

– Kuba – włącza się Marek – możesz powiedzieć, naprawdę. Ciągłe się za czymś rozglądasz, mało mówisz, co się dzieje?

Oboje zatrzymują się niemal jednocześnie. Wpatrują się we mnie oczekując jakiejś odpowiedzi. Wyglądają, jakby szczerze się martwili i chcieli pomóc. Zastanawiam się, czy nie powiedzieć im wszystkiego, ale nawet przed samym sobą wstydzę się tych dziwnych przemyśleń i niepotrzebnego lęku. To głupie.

– Wszystko w porządku – mówię po chwili.

– Kuba? – naciska Julka.

Spoglądam na Marka. Też nie wydaje się wierzyć w to, co mówiłem. Wzdycham ciężko.

– Możemy na moment usiąść?

Zatrzymujemy się w ogródku przed jakąś restauracją. Chwilę milczę, chcąc zebrać słowa. Później powoli zaczynam mówić. Opowiadam o wszystkim, co się ze mną działo od wczorajszego wyjścia w góry. Mówię nawet o tej dziwnej postaci. Chciałem to przemilczeć, ale jak już zacząłem mówić, nie potrafiłem nad tym zapanować. Kiedy kończę, czuję ulgę. Marek i Julka milczą. Kiwają chwilę głowami, a potem Marek zaczyna powoli i spokojnie:

– Nie wiem, czy ci się wydawało, czy nie, ale jeśli coś będzie się działo, pomożemy. Jakoś sobie wszyscy razem poradzimy. – uśmiecha się delikatnie. Ja chyba też.

Siedzimy tam jeszcze trochę. Zamawiamy coś do picia i jakieś przekąski, żeby nas nie wygonili. Później, kiedy już się uspokajam, wstajemy i zaczynamy niespiesznie wracać do domu.

\*\*\*

Zbliżamy się już powoli do domu mojego dziadka. Niebo zaczyna już szarzeć, dużo czasu spędziliśmy przed tamtą restauracją, ale chyba tego potrzebowałem. Idąc z powrotem, też raczej zbyt nie pędziliśmy. Dzwonię do dziadka i mówię mu, że wrócimy trochę później. Zdaje się, że denerwuje się z tego powodu. Mówię, że pamiętaliśmy o jego zakupach, ale nie poprawia mu to humoru.

Na ulicach dalej jest sporo ludzi, choć w tej części Zakopanego ruch jest niewielki w porównaniu z resztą miasta. Co kilka kroków i tak można znaleźć sklep z pamiątkami, czyhający na turystów, którzy zatrzymali się na obrzeżach miasta. Większość z nich jest już jednak pozamykana. Zbliża się wieczór.

Ludzi jest coraz mniej. Wzmaga się wiatr. Powoli rozbłyskują pierwsze uliczne lampy. Po całym tym dniu powinienem być spokojniejszy, ale mimo to czuję dreszcz przebiegający po plecach. Co jeśli ta postać wróciła? Co jeśli jednak mi się nie wydawało? Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Odwracam się. Pusto. Nikogo za nami nie ma.

– Co się dzieje? – Marek również odwraca się zaniepokojony. – Nie ma go tam, nic się nie dzieje – mówi, chcąc mnie trochę uspokoić. Kiwam głową w odpowiedzi, ale dziwne wrażenie nie mija.

Wiatr wyje coraz głośniejsze. Na końcu ulicy, za drzewami porastającymi podwórko sąsiadów, widzimy już właściwy dom. Natychmiast przyspieszam kroku. Julka i Marek też.

– Spokojnie – odzywa się Julka. – Nic się nie dzieje.

Chcę na trochę zwolnić, żeby chociaż wyglądać na mniej zdenerwowanego, ale zamiast tego przyspieszam jeszcze bardziej. Zdaje mi się, że razem z wiatrem słyszę coś jeszcze. Po drugiej stronie ulicy przechadza się jakiś pies. Przed oczami staje mi widok z poprzedniego wieczora. Serce bije mi mocniej. Jeszcze tylko kawałek. Zwierzę unosi głowę. Szczeka kilka razy donośnie. Gdzieś z oddali odpowiada mu inny głos. Nie wytrzymuję. Zaczynam biec. Pies w ciągu chwili spina się, pod skórą zarysowują się mięśnie. Skacze. Biegnę co sił, wściekłe ujadanie słysząc tuż za moimi plecami. Marek i Julka próbują ominąć zwierzę. To skacze po raz drugi. Czuję uderzenie i padam na ziemię. Uderzam dłońmi o asfalt. Wściekły pies staje nade mną. Ujada dalej. Udaje mi się na moment odwrócić. Widzę rozjuszoną bestię, gotową mnie zagryźć. Płowa skóra groźnie faluje, a pełen ostrych zębów pysk otwiera się co chwilę. Julka i Marek stoją z boku. Kątem oka widzę ich. Biegają dookoła bezradni, krzyczą coś. Kiedy próbują podejść, pies unosi głowę i zaczyna szczekać, by ich odgonić.

Nagle rozlega się przeciągły gwizd. Zwierzę zamilka i kuli uszy po sobie. Odsuwa się pozwalając mi wstać. W oddali ulicą ktoś idzie, jakaś niewyraźna postać. Niesie w rękach coś dużego. Obok skrada się drugi pies.

Leżę na ziemi, nie wiedząc, co robić. Jestem jak sparaliżowany. Julka ciągnie mnie za ramię. Dopiero kilka chwil później orientuję się, że biegnę. Dom jest coraz bliżej, a za mną



niczego nie słycać. Odwracam się. Psy oraz ich właściciel oglądają miejsce, w którym upadłem. Patrzę przez moment na własne dłonie. Są całe czerwone. Rana znowu krwawi

Powietrze przecina świst. Przede mną od ulicy odbija się strzała, jakby z łuku. Zaraz potem ta postać coś krzyczy, a psy znowu zaczynają ujadać. Przyspieszamy. Jeszcze tylko kilka kroków. Przebiegamy przez furtkę, zatraskując ją za sobą. Nie wiem, czy ogrodzenie może je powstrzymać, ale nie ma czasu się, żeby zastanawiać. Julka już dobiega do drzwi. Ujadanie robi się coraz głośniejsze. Zamykam oczy. Wskakuję do budynku. Marek wbiega zaraz potem. Słyszę, jak Julka zamyka za nami drzwi. Oddycham ciężko, ale teraz jesteśmy bezpieczni.

– Chłopaki! – Julka podchodzi na moment do okna. Głos jej drży. – On tam stoi.

Wyglądamy również. Faktycznie, tajemniczy łowca stoi przed ogrodzeniem, ściskając w jednej ręce drewniany łuk. W drugiej trzyma torbę z zakupami. Nawet nie zauważyłem, kiedy ją upuściłem. Jeden z psów krąży po podwórku, drugi trzyma się swojego pana. Wiatr wyje tryumfalnie.

Kilka chwil później słyszymy dźwięk kroków w korytarzu. Na moment nam wszystkim serca znowu przyspieszają, a potem orientujemy się, że to tylko mój dziadek. Jest blady i trzyma rękę na piersi. Ciężko oddycha. Kiedy nas zauważa, na jego twarzy maluje się ulga. Staruszek opiera się o ścianę.

– Jak dobrze, że już jesteście – mówi cicho, niemal szeptem.

– Co to było?! – Julka chyba chce krzyczeć, ale zamiast tego wydaje z siebie tylko dziwne rzężenie, które w jakiś sposób układa się w słowa.

– On na nas polował? – dziwi się Marek. Mówi z trudem, głos mu się łamie.

Dziadek otwiera na moment usta. Zaraz potem zasłania je ręką. Trzęsie się. Próbuje do niego podejść, wydaje mi się jedyną osobą, którą jest sens, o coś pytać. Chcę się dowiedzieć, co się dzieje, ale jego reakcja zmusza mnie, żeby poczekać. Kiedy stają tuż przy nim, on odwraca się i wychodzi, zostawiając nas samych.

– I co teraz? – odzywa się Julka.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam prawie bezgłośnie.

Wychodzimy z przedpokoju. Zastanawiam się, czy nie pójść na górę i nie zamknąć się w pokoju, ale kiedy przechodzimy przez salon, dociera do mnie, że nie dałbym rady teraz wejść po schodach. Opadam na najbliższy fotel. Serce dalej wali mi jak oszalałe. Czuję suchość w ustach i zaczyna mnie boleć brzuch. Kiedy mija już trochę czasu, zaczyna mi się robić zimno. Cały się trzęsę, ale nie mam siły przynieść sobie koca. Kątem oka widzę, że Marek i Julka rozwalili się na sąsiednich siedzeniach. Wyglądają na wycieńczonych.

Nie mam pojęcia, ile tak siedzimy. Po jakimś czasie do pokoju przychodzi mój dziadek. Kiedy się pojawia, na moment znowu się zrywamy. Potem oddychamy z ulgą, widząc, że to tylko on. Stawia na stole dwa kubki z herbatą owocową. Później znikna na

moment, żeby przynieść pozostałe. Jakaś część mnie jest oburzona, zachowuje się, jakby herbatka owocowa miała rozwiązać wszelkie problemy. Parzy ją nam cały czas, a teraz myśli, że dzięki niej wszystko będzie w porządku. Tylko że my nie potrzebujemy teraz herbatek, a prawdziwej pomocy.

Mimo to sięgam po kubek. Jestem zmęczony, jest mi zimno. Herbatka nie wydaje się taka zła.

Dziadek siedzi dość długo w milczeniu, podobnie jak my. Wydaje się przy tym mniejszy i jeszcze starszy niż zazwyczaj. Wypija kilka łyków, a później zostawia swój kubek. W kościstych palcach ściska łyżeczkę, w którą wpatruje się, jakby chciał z niej wyczytać, co powinien powiedzieć.

– Jak byłem w NRD – zaczyna bardzo powoli, z trudem składając zdania – mówili, że przy takich wichurach duchy szaleją po górach. Tutaj wcześniej też mi tak mówiła moja babcia świętej pamięci. Wtedy jej nie wierzyłem, ale tam... – urwał na moment, jakby przypomniało mu się coś okropnego.

Wszyscy na moment się podnosimy, wbijając w niego wzrok. Siedzi zgięty, jak pod jakimś ciężarem. Jest cały blady. Jego włosy wydają się jeszcze bardziej siwe, a twarz jeszcze bardziej pomarszczona niż normalnie. Z wyczekiwaniem przypatrujemy mu się, kiedy odkopuje coś w swojej pamięci. Nie podnosi na nas wzroku nawet na moment. Cały czas wpatruje się w łyżeczkę, jakby bał się spojrzeć w oczy drugiemu człowiekowi.

– Pojechałem tam z jednym przyjacielem, Jaśkiem. Długo tam zostaliśmy – odzywa się ponownie drżącym głosem. – Którejś nocy zaczęły się burze takie jak te teraz. Ludzie przestrzegali nas, żebyśmy nie wychodzili po zmroku i pod żadnym pozorem nie szli w góry, ale my nie chcieliśmy słuchać. Bawiły nas te przestrogi. Któregoś wieczora, kiedy wracaliśmy z drogi, Jasiek na moment się zatrzymał. Ja szedłem dalej, jeszcze chwilę. Później usłyszałem za sobą krzyki i ujadanie psów. Jasiek pędził ja szalony. Też zacząłem biec. Byłem z przodu i biegłem szybciej... – głos mu się łamie. Nie jestem pewien, czy nie zacznie płakać. Po chwili bierze głęboki oddech i kontynuuje: – Oddaliłem się, a on zniknął mi z oczu. Dalej słyszałem pościg, ale Jaśka już nie. Później to, co nas goniło ucichło. Pozostał tylko wiatr. Tego wieczora wróciłem sam.

Kończy opowiadać, a my długo jeszcze siedzimy w milczeniu. Ciężko nam zebrać się na jakikolwiek komentarz. Przyglądamy mu się w ciszy. Mam wrażenie, jakbym patrzył na zupełnie obcego człowieka. Nigdy nawet słowem nie wspomniał o tym zdarzeniu, ani o swoim przyjacielu. To wydarzenie musiało mieć na niego okropny wpływ. Zawsze całą rodziną mieliśmy go za zdziwaczęgo i pełnego przesądów staruszka, ale teraz chyba myślę o tym jakoś inaczej.

– Przykro mi – mówię cicho. On tylko prycha pod nosem w odpowiedzi.

– Dobrze, że nic wam nie jest – odpowiada słabym głosem, patrząc na mnie zażawionymi oczami.

Przesuwa wzrokiem po nas wszystkich. Potem podnosi się z fotela.

– Zrobię wam kolację – mówi, podchodząc do wyjścia z pokoju. Tam zatrzymuje się na chwilę, jakby zastanawiał się, czy nie powiedzieć czegoś jeszcze. Potem dodaje: – Proszę, uważajcie na siebie. Nie wychodźcie na tak długo. Proszę.

Jesteśmy w stanie tylko pokiwać głowami i wymruczeć coś cicho. Po tym, co się stało i co usłyszeliśmy, nie moglibyśmy powtórzyć tego błędu.

\*\*\*

Tej nocy znowu bardzo źle śpię. Przez cały czas myślę o tym, co opowiedział nam dziadek. Przed oczami wciąż mam wściekłego psa ujadającego tuż przed moją twarzą. Serce nadal bije mi w nienormalny sposób. Czuję się słabo.

Powtarzam sobie w myślach, że już jestem bezpieczny, że nie wejdzie do domu i już mnie nie złapie. Wiatr w szczelinie przy oknie świszczy, jakby chciał wyśmiać moje nadzieje. Kilka razy podchodzę do okna. Mimowolnie wyglądam na dwór. Przez chwilę widzę tylko aksamitne, czarne niebo, gięte przez wicher drzewa na podwórkach i w pobliskim lesie oraz fragment pustej ulicy. Zaczynam się już wtedy cieszyć, ale zaraz potem w świetle latarni przebiega biały kształt któregoś z psów. Ich pana nie zauważam, ale wiem, że gdzieś tam musi być. Cały czas obserwuje.

– I jak? – odzywa się za każdym razem Marek z ustawionej obok leżanki. Mówi bardzo cicho, jakby obawiał się, że tajemniczy łowca usłyszy jego słowa. – Jest tam dalej? – Kiwam delikatnie głową.

Wpatruję się w ulicę jeszcze chwilę. Później wracam do łóżka. Próbuję zasnąć. Potem znowu wstaję i cała sytuacja się powtarza.

Marek ma chyba podobny problem. Cały czas albo przekręca się z boku na bok, albo wbija wzrok w sufit.

– Jak myślisz, co teraz będzie? – pyta w którymś momencie. Nie potrafię odpowiedzieć.

\*\*\*

Następnego dnia dowiaduję się, że w całym domu nikt nie spał dobrze. Mój dziadek z trudem słańia się na nogach. Marek co chwila łapie się za głowę. Julka bez słowa siedzi na fotelu w salonie i wodzi po nas spojrzeniem zmęczonych oczu. Po wczorajszej ucieczce oraz całej nocy czuwania ledwie jesteśmy w stanie myśleć. Ja czuję się chyba najgorzej, od dwóch dni prawie nie zmrużyłem oka. Wszyscy siedzimy teraz w ciszy, próbując jakoś się obudzić. Tylko wiatr świszczy ze śmiechem na zewnątrz.

Po śniadaniu próbuję na trochę się zdrzemnąć, ale myśli wciąż kotłujące się po mojej głowie, utrudniają sen. Muszę się czymś zająć. I muszę zdobyć odpowiedzi choć na kilka dręczących mnie pytań. Podchodzę do dziadka.

– Dlaczego on nas ściga? – pytam od razu.

Staruszek odwraca się w moją stronę. Na moment spuszcza wzrok, a potem podnosi go znowu. Już widzę, co chce mi powiedzieć, ale mimo to odpowiada również na głos:

– Nie wiem – mówi cichym, słabym głosem, jakby czuł żal, że nie może pomóc.

– Kto to w ogóle jest? – dopytuję dalej.

– Naprawdę nie wiem – powtarza dziadek.

– Jak to nie wiesz?! – denerwuję się, ale widząc jego rozżaloną twarz i błyszczące oczy, zaraz przepraszam: – Nie chciałem. Ja... ja po prostu...

– Rozumiem – przerywa mi, siląc się na delikatny uśmiech.

Julka i Marek przyglądają się nam. Oni też chcieliby się tego wszystkiego dowiedzieć. Jestem pewien, że również denerwują się całą tą sytuacją. To wszystko nie ma sensu.

– Naprawdę chciałbym pomóc – zaczyna mój dziadek – ale nie wiem, czy potrafię. Po tym, co się stało z Jaśkiem szukałem odpowiedzi, wyjaśnienia, ale nic mi to nie dało. Nie wiem, kim jest ta postać, ani dlaczego to robi – westchnął ciężko. Następnie nabrał powietrza i mówił dalej łamiącym się czasem głosem: – Pytałem różnych ludzi, sprawdzałem stare legendy i góralskie opowieści. Raz mówili, że to pokutująca dusza, innym razem, że upiór, który od zawsze poluje po górach. Przez to wszystko człowiek zupełnie inaczej patrzy na świat, ale co mi to dało? Nie wiem nawet, czy ten potwór, który dopadł Jaśka i ten, który gonił za wami, to ta sama osoba. To było tak daleko. Nie mam pojęcia, co zwróciło jego uwagę, ani dlaczego na was poluje.

– Już dobrze – odpowiadam, nie chcąc znowu krzyżeć.

– Może powinniśmy wracać? – odzywa się nagle Julka. Mówi bardzo cicho, jakby obawiała się tego, jak przyjmujemy jej słowa. To do niej niepodobne.

– Moglibyśmy – potakuje nieśmiało Marek.

– Tak – odpowiada powoli mój dziadek – to może być dla was najlepsze. Macie jutro jakiś pociąg? Zdążycie się spakować? – pyta z nutą nadziei w głosie. Kiwamy głowami w odpowiedzi, a on komentuje odrobinę żywiej: – Wspaniale! – uśmiecha się blade.

Zaraz zaczynamy sprawdzać rozkład na najbliższe dni. Internet nie działa, ale na szczęście Marek po przyjeździe zrobił zdjęcie tablicy z planem. Nagle jesteśmy wdzięczni, że nie słuchał, jak mówiliśmy, że będziemy mogli znaleźć go później. Potem podnosimy się i zgodnie idziemy spakować nasze rzeczy. Wszyscy mamy dość tej pogoni. Przez chwilę czujemy, że znaleźliśmy rozwiązanie. Jakiś głos z tyłu głowy mówi mi jednak, że to nie będzie takie proste.

\*\*\*

Popołudniu, kiedy schodzimy na dół, jesteśmy gotowi, by następnego dnia stąd wyjechać. Myśl o tym w pewien sposób dodaje otuchy. Czuję się najlepiej, odkąd to wszystko się zaczęło. Markowi oraz Julce też wrócił humor. Na dworze wciąż szaleje wiatr, ale teraz nie musimy się nim już martwić.

W którymś momencie gdzieś na zewnątrz rozlega się trzask. Wstajemy zaniepokojeni, ale nic się nie dzieje. Znowu trwa cisza, a jedynym dźwiękiem jest nieustający szum wiatru. Tym razem to chyba naprawdę nic strasznego. Wzdychamy i ponownie się uspokajamy. Kilkanaście minut później rozlega się dzwonek do drzwi. Ten myśliwy na pewno by nie pukał. To nie może być. Na krótką chwilę się wzdygam, ale potem dociera do mnie, że to faktycznie nie może być on. Poza tym jeśli on poluje w nocy, to teraz jest jeszcze za wcześnie. Ktoś pewnie po prostu przyszedł.

Dziadek idzie do drzwi, a ja odwracam się w fotelu, żeby zobaczyć, kto dzwonił. Dziadek otwiera, a na progu pojawia się mężczyzna w średnim wieku. Jeden z sąsiadów, pan Zając. Wygląda na zdenerwowanego. Mówi, że wiatr odłamał gałąź jednego z drzew na jego podwórku, a ta wbiła się w szybę samochodu. Straż teraz ma pełne ręce do roboty z powodu tych wichur, więc trzeba by na nich długo czekać. Prosi o pomoc. Po kilku kolejnych chwilach rozmowy dziadek wychodzi z nim. Ja w tym momencie przypominam sobie, że wciąż musimy uważać na zewnątrz. Wstaję i biegnę za nimi.

– Kuba? – dziwi się Marek, również się podnosząc.

– Marek?! – krzyczy za nim Julka.

Po chwili już wszyscy razem stoimy przed domem. Niebo powoli ciemnieje, a wiatr robi się silniejszy. Zając pokazuje dziadkowi samochód. Rozmawiają. Zając chyba pyta o hałasy z wczoraj. Dookoła biegają psy Zająca, dwa maleńkie teriery. My stoimy jak sparaliżowani. Czuję na sobie jakieś spojrzenie. On gdzieś tu jest. Po plecach przebiega mi dreszcz. Psy Zająca zaczynają cicho szczeleć, a później przechodzą w pisk i skomlenie. On tu jest!

Odwracam się. Chcę wrócić do domu. W ziemię przed wejściem wbija się strzała. Staję jak sparaliżowany. Rozlega się wściekłe ujadanie. Olbrzymi biały pies przeskakuje przez ogrodzenie. Natychmiast zagrada mi drogę do domu. Nie wiele myślę. Skaczę w drugą stronę, zaczynam biec. Marek i Julka są zaraz za mną. Wybiegam za ogrodzenie. Zerkam za siebie. Widać drugiego psa. W oddali majaczy sylwetka jego pana. Spinam się w sobie, przyspieszam. Pędzę drogą, prosto, przed siebie.

Widzę jeszcze, że dziadek i Zając nawet nie zdążają, żeby zareagować. Olbrzymia bestia przebiega obok nich. Bokiem uderza w pana Zająca, który zaraz się przewraca. Wściekły pies goni za nami.

Domy wzdłuż ulicy się kończą. Droga wchodzi w las. Biegniemy dalej. Dwa wściekłe potwory są tuż za nami. Czujemy ich oddech. Obok mnie Marek się przewraca. Jeden z

psów skacze na niego i przygniata go do ziemi. Zaczynam krzyczeć. Z drugiej strony pada Julka. Psy ujadają wściekle. Za nimi idzie myśliwy. Moi przyjaciele krzyczą, a potem cichną, kiedy strach zaciska im gardła. Chcę się zatrzymać, ale nie panuję nad sobą. Zaciskam powieki i biegnę dalej. Z tyłu niczego nie słyszę, ale nie potrafię się zatrzymać. Uciekam. Serce bije mi jak oszalałe. Widok zaczyna ciemnieć. Nie mam siły. Potykam się. Padam na ziemię. Uderzam dłonią i po raz kolejny czuję na niej krew. Próbuję się podnieść, zignorować zmęczenie i walczyć dalej, ale nie potrafię. Odwracam się tylko, dysząc ciężko. Ulicą powoli, niespiesznie, jakby wiedziała, że już nie ucieknę kroczy postać w ciemnym płaszczu. Nie słyszę kroków. Wygląda teraz jak cień przesuający się po drodze. Nie widzę twarzy, skrywa ją cień kaptura. W oddali, poszczekując, biegną dwa białe kształty. Wiatr wyje przeraźliwie, a serce wali mi jak młotem. Teraz jestem tu sam, na łasce tajemniczego łowcy.

Myśliwy zatrzymuje się. Dalej nie jestem w stanie powiedzieć, co znajduje się pod kapturem, ale mam wrażenie, że przygląda się mojej krwawiącej dłoni. Przekrzywia głowę. Nie widzę oczu, ale wiem, że wbija we mnie spojrzenie. Słyszę jakiś dziwny dźwięk, jakby pociągał nosem. Później pod kapturem rozlega się cichy pomruk zadowolenia, a następnie przesywający gwizd. Z daleka psy odpowiadają wyciem. Wiatr wzmaga się jeszcze bardziej. Brzmi teraz jak jakiś upiorny chichot. Myśliwy podchodzi jeszcze kilka kroków. Ja dalej leżę u jego stóp, nie potrafiąc się ruszyć. Nagle przypomina mi się opowieść dziadka, historia o tym jego przyjacielu. Czuję, wiem, że zaraz podzielę jego los. Tajemniczy łowca zakłada łuk na ramię. Później powoli przesuwa dłonie w stronę kaptura. Zdejmuje go, serce podchodzi mi nagle do gardła, ciałem wstrząsają dreszcze. Zaciskam powieki. Wichura na dobre zaczyna szaleć.